ROK TRZECI.

№ 5.

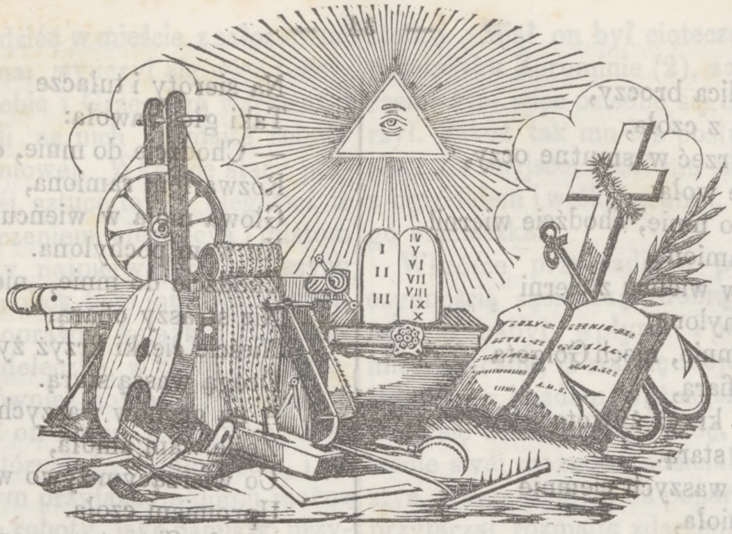
Warszawa.

Dnia 19 (31 stycznia).

1858.

Niedziela

Siedmdziesiątnicy czyli Starozapustna.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Prosimy Cię Panie! racz łaskawie wysłuchać modły ludu Twego, którzy sprawiedliwie za grzechy utrapieni jesteśmy, a z miłosierdzia, dla chwały Twego Imienia wybawieni będziemy. (Kollekta na Niedzielę Siedmdziesiątnicy czyli Starozapustną).

Prządka.

Siadła prządka przy kominie,
Puściła wrzeciono;
Smutna piosnka z ust jéj płynie,
Ach! i z serca pono:
— Matko Boska Częstochowska,
Królowo serdeczna!
W sercu mojem wieczna troska,
A w oku łza wieczna.
Mąż mój poszedł w świat daleki
W boleści godzinie,
Aż zamknęła śmierć powieki
W nieznanéj krainie.
I zostałam na tym świecie,
Jak ptaszę tułacze;
U wdowiego serca dziecię
Łzą sierocą płacze.
Krwawym znojem, łez swych zdrojem
Karmię to niebożę,
I za całym skarbem moim
Tak Cię błagam Boże:
Przez łzy, co mi z oczu cieką,
Przez ojcowską dolę,
Otocz świętą Twą opieką
Sieroce pacholę!
Niech mi rośnie w życia wiośnie
Jak choinka w lesie,
Niech mu każdy rok radośnie
Nowe szczęście niesie;
Zagon, który ciężkim potem
I łzą gorzką zleję,
Niech mu kiedyś żniwem złotem
Corocznie się śmieje.
I ta chata pochylona
Niech podniesie strzechę;
Jak kwiat róży kraśna żona
Niesie w nią pociechę! —

Śpiewa prządka, nagle łkanie
Pieśń stłumiło w łonie,
Ku bielonéj chatki ścianie
Wyciągnęła dłonie.
Tam na krzyżu rozciągnięta
Kona postać blada,
Bok przeszyty, głowa święta
Na ramię opada.

I krew blade lica broczy,
Strugą płynie z czoła,
Lecz gdy spojrzeć w smutne oczy,
Głos się zdaje woła:
—Chodźcie do mnie, chodźcie wierni!
Rozwarłem ramiona,
Głowa moja w wieńcu z cierni
Ku wam pochylona.
Chodźcie do mnie, niech Golgota
Nie straszy ofiarą,
Nieście ciężki krzyż żywota
Drogą waszą starą.
A na grobów waszych ciemnie
Ześlę wam anioła,
Co wierzącym żywo we mnie
Upromieni czoła.
Wtedy Chrystus zmartwychwstały
Zgarnę was do siebie,
Dzień się stanie mojéj chwały
Na ziemi i niebie.

Klęka prządka, rozjaśniona
Źrenica jéj błyska,
Do drżącego swego łona
Dzieciątko przyciska.
— Boże! woła, promień łaski
Błysnął z krzyża Twego,
Niebieskiemi swemi blaski
Wszedł do serca mego;
I jak tutaj wśród ślepoty
Czuciom matki kwoli,
Błagałam Cię dla sieroty
Uciech ziemskiéj doli,
Tak znów dłonie wznoszę drżące
I wołam w pokorze:
Daj mu poznać prawdy słońce,
Ojców moich Boże!
Niechaj idąc życia drogą,
Słów twych strzeże wiernie,
Choćby krwawą, jak Ty nogą
Ostre deptał ciernie!
A chcąc dotrwać niezwalczony
W miłości i wierze,
Niech Twój, Chryste, krzyż skrwawiony
Za wsparcie obierze;
Bo tam tylko u podnóża
Swieci łaska Pana,
Tam umilka pokus burza
W sercu chrześciana;
Tam każdego, który płacze,
Wesprze dłoń anioła,
Na sieroty i tułacze
Taki głos zawoła:
— Chodźcie do mnie, chodźcie wierni!
Rozwarłem ramiona,
Głowa moja w wieńcu z cierni
Ku wam pochylona.
Chodźcie do mnie, niech Golgota
Nie straszy ofiarą,
Nieście ciężki krzyż żywota
Drogą waszą starą.
A na grobów waszych ciemnie
Ześlę wam anioła,
Co wierzącym żywo we mnie
Upromieni czoła.
Wtedy Chrystus zmartwychwstały,
Zgarnę was do siebie,
Dzień się stanie mojéj chwały
Na ziemi i niebie!...

Posiedzenia u starego Grzegorza.

—

Przed kilkunastu laty mieszkał na drugiem piętrze w jednym z domów przy ulicy Leszno stary kawaler, były wojskowy; zwano go powszechnie pułkownikiem, w tym bowiem stopniu otrzymał był uwolnienie od służby. W mieszkaniu jego było zawsze cicho, spokojnie jak w celi; jedynym bowiem jego towarzyszem był stary Grzegórz, co hałasu nie cierpiał. Służył on za młodu wojskowo, podobnie jak i pan jego, i tam to się pierwsza ich znajomość zawiązała. W bitwie pod Tudelą w Hiszpanii, Grzegórz podówczas prosty szeregowiec, miał szczęście ocalić życie swemu porucznikowi—wypadek ten zbliżył ich ku sobie. Z upływem czasu, jeden dosłużył się bulionów, (1) drugi dla braku odpowiedniego wykształcenia i nauki poprzestać musiał na galonkach sierżanta, co wszakże nie przeszkadzało bynajmniéj do wzajemnego ich przywiązania. Obadwa jednocześnie opuścili szeregi—pułkownik z niewielką płacą retretową zamieszkał w stolicy, i wymógł na Grzegorzu, że mu towarzyszył w charakterze raczéj przyjaciela aniżeli służącego; co ten ostatni przyjął z radością, będąc przywiązany całą duszą do swego dowódcy.

Przywykły do czynnego zawsze życia puł-

(1) Bulionami zowią się frendzle przy szlifach, oznaczające wyższe stopnie wojskowe, poczynając od stopnia majora.

kownik, nie mógł siedzieć w mieście z założonemi jak to mówią rękoma; wyuczył się więc tokarstwa, sprawił dla siebie i Grzegorza warsztat, i obadwa wykonywali na nich rozmaite roboty z drzewa i kości słoniowéj. Wkrótce stary pułkownik nabył w téj sztuce takiéj biegłości, iż wyroby jego wykończeniem, elegancyą i gustem przewyższały roboty najpierwszych tutejszych tokarzy; wyuczył się obok tego introligatorstwa, tak, że sam sobie oprawiał książki i kleił rozmaite koszyczki i pudełeczka, w czem mu Grzegórz niemałą był również pomocą. Wszystkie te wyroby rozdawał on swoim znajomym, mianowicie dzieciom, których był ulubieńcem, i do dziś dnia w niejednym przyjaznym domu można widzieć te gustowne roboty, jako pamiątki przyjaźni troskliwie pielęgnowane. Posiadał obok tego pułkownik niewielką, ale wyborową biblioteczkę, w któréj znajdowała się znaczna ilość książek dla ludu; rad był bowiem przez ich pośrednictwo kształcić umysł swego towarzysza, którego zaraz w początkach zamieszkania w Warszawie, sam czytać i pisać nauczył. Kiedy więc pan jego szukał wieczorem chwilowéj rozrywki w gronie swych przyjaciół i kolegów, wtedy Grzegórz zasiadał sobie przy lampie nad książkami, i czytając rozmaite historye i powieści, rozważał je i zastanawiał się nad niemi, przez co umysł jego dziwnie się rozjaśniał.

Tak przeszło im lat kilkanaście w cichéj spokojności, przy jednostajnych zajęciach przeplatanych czytaniem i pogawędką w któréj pan lubił oświecać wiernego sługę; gdy naraz pułkownik tak zaniemógł, że się musiał w łóżko położyć, i po kilku dniach choroby Bogu ducha oddał. Gorącemi łzami oblał Grzegórz zwłoki swego ukochanego pana i dobrodzieja, który w ostatniéj nawet chwili nie zapomniał o przyszłości starego towarzysza; bo gdy po oddaniu ostatniéj posługi zmarłemu, powrócił Grzegórz do opustoszałego mieszkania, wtedy dowiedział się od przybyłego urzędnika sądowego, iż pan jego uczynił go jedynym spadkobiercą skromnéj swéj pozostałości, składającéj się z kwoty złp. 1200 gotowizną, oraz z sukien, bielizny, pościeli, mebli i innych ruchomości. Grzegórz, któremu Warszawa najboleśniejszą jego stratę przypominała, wyłączywszy niektóre przedmioty, oraz powieści i obrazki ludowe, które sobie jako pamiątkę po swoim dobroczyńcy zachował, resztę rzeczy spieniężył, i z kilką tysiącami złotych opuścił stolicę. Miał on był cioteczną swoję siostrę w miasteczku Żurominie (2), za tamtejszym stolarzem; tam więc osiedlić się bliżéj swoich zamierzył. Jakoż tak mu los posłużył, że za przybyciem na miejsce, trafił mu się porządny dworek z ogródkiem i włóką gruntu, który nabył i zaraz go zamieszkał.

Wkrótce przykładnem postępowaniem, uczynnością sąsiedzką, dobrą w potrzebie radą, takiego nabył wpływu i poważania pomiędzy mieszkańcami, iż stał się niejako wyrocznią miasteczka; w każdem ważniejszem zdarzeniu uciekano się doń o pomoc i radę, których on chętnie wedle swéj możności udzielał. Najzawilsze kwestye rozstrzygał, a na poparcie swojego zdania przytaczał rozmaite zdarzenia i powiastki, czerpane już to z własnego doświadczenia, jużto z książek ludowych, których zbiór w miarę ich wychodzenia pomnażał, a zawsze umiał je do okoliczności wybierać i stosować; ztąd też otrzymał w miasteczku przydomek mądrego Grzegorza.

Owóż przed parą miesiącami, zebrała się w domu Grzegorza niemała gromadka ludzi, sam kwiat miasteczka; byli tam bowiem pomiędzy innymi, nauczyciel szkółki elementarnéj, organista parafialnego kościoła, kilku mieszczan i kilku majstrów rzemieślniczych. Rozmowa toczyła się głównie o wódce. Zdania w kwestyi tej były podzielone jak się to dziać zwykło w każdem większem, czy mniejszem zebraniu—jedni, na których czele stał nauczyciel z organistą, byli przeciwko niéj, drudzy przyjaciele truneczku, utrzymywali, że to niepodobieństwo wyrzec się całkiem wódki, która wśród pracy wzmacnia siły i do zdrowia pomaga; stary jedynie Grzegórz nie wyrzekł dotąd ani słowa, przysłuchiwał się tylko bacznie wszystkiemu, co mówiono. A wtem powstał Młotkowski majster kowalski i uderzywszy pięścią w stół:

— Cicho! wy tam, co powstajecie przeciwko gorzałce, zawołał, i cóż wam ona złego zrobiła? Ja przecie, jak mię tu widzicie, piję ją od lat dwudziestu i jestem zdrów jak ryba; i ręka do młota nie osłabła, i łokciami nie świecę. Gdybyśmy ją pić przestali, to i coby nam się z tego zawiązało?—powiadacie, żebyście się mieli lepiéj, a to nieprawda. Spotkałem się dziś właśnie z Abra-

(2) Żuromin niewielkie miasteczko w gubernii Płockiéj, liczące 1500 mieszkańców, w którym $^{1}/_{3}$ żydów.

hamem Sznaps, tutejszym propinatorem, którego wszyscy znacie. Otóż on mi powiedział, że ci, co odrzekają się wódki, są głupi, i sami nie wiedzą co robią.

— I cóż wy na to, zawołał głośniéj Młotkowski, spoglądając tryumfującym głosem po słuchaczach; cóż, wyrzeczecie się gorzałki? Co do mnie, pozostaję przy swojem, i nie odrzeknę się jej do śmierci, boć to taki dar Boży jak każdy inny, a darem Bożym pogardzać nie należy.

Milczenie osiadło w zgromadzeniu po tych słowach kowala, ci tylko, co trzymali z nim, przywtarzali głośno: tak, tak, ma słuszność, to taki dar Boży, jak każdy inny i gardzić się nim niegodzi.

Wtedy twarz starego Grzegorza okryła się ponsem; odgarnął z czoła siwe włosy, i z okiem pałającem, z głosem drżącym od oburzenia zwracając się w stronę Młotkowskiego i jego popleczników,

— Ciszéj bezbożni! zawołał—niedosyćże wam samym kalać się w obrzydłem opilstwie; chcecież jeszcze fałszywem rozumowaniem skrzywić proste pojęcie innych? Powiadacie, że ponieważ gorzałka jest darem Bożym tak jak każdy inny, to ją pić bez grzechu można; a toć wszystkie trucizny są darem Bożym, a dlatego ich nie używacie. Wszystko na tym świecie, mówił daléj, ma pewne granice swéj użyteczności; trucizna w małéj ilości i stosownie użyta, staje się dzielnem lekarstwem—i wódka byłaby niem także, gdyby jéj upajające własności nie stały się były pochopem do nadużywania jéj nad miarę i zbydlęcania tem człowieka, na obraz i podobieństwo Boskie stworzonego. Sam w moich młodych latach byłem świadkiem, że kiedy pan pozwolił był swemu furmanowi jeden kieliszek wódki na dzień, ten zasmakowawszy w trunku, przeszedł wkrótce do dwóch, dalej do trzech i skończył na tem, że się stał nałogowym pijakiem i umarł gdzieś pod płotem jak nieboskie stworzenie. Znałem był znowu w Warszawie pewnego podeszłego pana, przyjaciela nieboszczyka pułkownika, który nieraz płakał przed nim na swego jedynaka syna. Młody ten chłopiec, pełen na przyszłość nadziei, wszedłszy w grono zepsutéj młodzieży, nabył tego zgubnego nałogu. Rodzice postrzegłszy to, zaklinali go na miłość synowską, ażeby pić zaprzestał—płakał i on i przyrzekał poprawę; ale gdzietam! wkrótce nałóg brał górę nad rozsądkiem. Rodzice nie tracili jednakowoż jeszcze nadziei, czuwali nad nim troskliwie, i nie pozwalali mu na krok zdomu wychodzić. I to wszakże nie pomogło; znajdował on sposoby dostania trunku, i upajał się nim sam w własnem mieszkaniu. Wyobrazić sobie można, jaka to była boleść dla jego zacnych rodziców—postanowili oni ostrzejszych chwycić się środków: odmówili mu zupełnie pieniędzy, rozumując bardzo naturalnie, iż nie mając za co, pić nie będzie. Jakoż przez dni kilka chłopiec był trzeźwy, nadzieja zaczęła wstępować w strapione serca rodziców, ale nie trwało to długo; spostrzegli oni z przerażeniem, iż się zaczął upijać nanowo. W głowę zachodzili, jakim sposobem dostawał trunku, tembardziej, że i kredyt u kupców został mu zamknięty—ale niezadługo przekonali się na własne nieszczęście, iż funduszu na trunek dostarczało ojcowskie biurko, które dobranym otwierał kluczykiem. Odkrycie to zadało im cios okropny; ojciec w przystępie gniewu zagrażał mu przekleństwem i wydziedziczeniem, matka tonąc we łzach, powiedziała mu, że ją postępowaniem swojem do grobu wpędzi. Co się daléj stało, nie wiem, gdyż wtedy właśnie dobroczyńca mój umarł, a ja po jego śmierci opuściłem Warszawę.

Przytoczyłem wam jedynie te dwa zdarzenia na dowód, jak natura ludzka jest słabą, i że pozwalając podobnemu człowiekowi jeden kieliszek dziennie, naraża się go na to, że sobie pozwoli drugi i trzeci i powróci do nałogu. Dlatego, kto chce się poprawić, niech się poprawi bezwarunkowo, i niech się strzeże, żeby go nawet para od gorzałki nie doleciała, bo wtedy nie oprze się pokusie.

—Widzę bracia moi z przykrością, rzekł dalej Grzegórz, iż nie zdołałem was przekonać dostatecznie o zgubnych skutkach gorzałki; nie tracę wszakże nadziei, że to nastąpi. Bądźcie więc tak dobrzy i przyjdźcie do mnie w przyszłą da Bóg doczekać niedzielę na pogawędkę; opowiem wam wtedy prawdziwe zdarzenie o kowalu, co był równie dzielnym pracownikiem, jak nasz zacny majster Młotkowski, ale co też podobnie jak on był przyjacielem wódki, i jak go ręka Boża znad przepaści, w którą się pogrążał, cudownie wywiodła; może opowiadanie to skuteczniéj na was podziała, aniżeli dotychczasowe słowa moje.

Kowal zaciekawiony tem zapowiedzeniem, przyrzekł Grzegorzowi stawić się w następną nie-

dzielę, toż powtórzyli inni. Poczem pożegnawszy się przyjacielsko z gospodarzem, rozeszli się do domów, gwarząc jeszcze przez drogę o wypadku dnia tego.

Głos ubogiéj matki

do córki na służbę idącéj.

(Patrz nr. 3 Czytelni).

I.

—

Już to sama wiesz dobrze moja córko kochana, że Bóg nie wszystkim jeden sposób do życia przeznaczył, ale tak mądrze urządził, że ludzie jedni bez drugich obejść się nie mogą, a każdy pracować musi. Słudzy mają panów nad sobą, rzemieślnicy majstrów, urzędnicy, duchowni, wojskowi przełożonych wyższych i coraz wyższych, ale wszyscy jednego Pana nad Pany, przed którym każdy prędzéj czy późniéj, będzie musiał zdać rachunek ze służby swojéj na tym świecie. Idzie tylko o to, aby bez obrazy Boga, z użytkiem dla bliźnich, a z pożytkiem dla siebie, zarabiać na życie ziemskie, póki Bóg do lepszego nas nie powoła.

Mężczyzni trudnią się rzemiosłami, fabryką, żołnierką, handlem, służbą i t. d—kobietom zaś, a szczególniej ubogim dziewczętom, najczęściéj wypada w służbie szukać sposobu do życia. Rodzice moi mieli nas dzieci kilkoro; jak przyszedł czas, aby które z nas już sobie stan jaki obierać miało, to nigdy żadnego z dzieci na los nie puszczali, jak to inni rodzice robią, co mieszczą dzieci, ot tak, gdzie się nadarzy, czy do służby jakiéjkolwiek, czy do byle jakiego terminu. Nasz ojciec i matka po wiele razy nam powtarzali: nielada to rzecz obrać sobie sposób do życia; każdy wprzód niech się dobrze zastanowi, do czego ma większą zdatność, do czego chęć lepszą, do czego więcéj siły i zdrowia? Bo od tego wszystkiego zależy, aby w obranym sposobie do życia znaleźć przywoity zarobek, i nie obrażać Boga narzekaniem, albo złem dopełnianiem swoich obowiązków.

Więc u ś. p. naszych rodziców tak bywało, że jak które z nas miało z domu na świat wyruszać, to na tę intencyą odprawialiśmy wszyscy *nowennę* do Ducha Sgo, prosząc o dobre natchnienie w wyborze stanu, czy jakiéj profesyi; potem radziliśmy się ludzi doświadczonych, i w Imię Boże puszczaliśmy się na chleb własny. Tak samo było i względem mnie, i wtedy, gdy małą jeszcze oddano mnie do mojéj chrzestnej matki, dla któréj do śmierci wdzięczność zachowam, i wtedy gdy po jéj nieodżałowanéj dla mnie śmierci, musiałam innéj służby szukać. Bóg łaskaw wszystkim nam poblogosławił. Takim też sposobem ja i twój ś. p. ojciec postępowaliśmy z naszemi dziećmi.

Wszyscy też, dzięki Opatrzności, już rozporządzeni, i na los swoj nie narzekają, a Bogu i ludziom są przydatni. Ty tylko moja córko! jeszcześ za młoda, aby cię w świat puszczać, a ja coraz się starzeję i często słabuję; więc widząc w tobie od dzieciństwa ochotę do służby dworskiéj, umyśliłam przy pomocy Boskiéj, na przypadek śmierci mojéj zostawić ci moja Józiu pospisywane różne myśli, przestrogi i rady moje względem tego, jak masz postępować, ażebyś i sama sobie umiała zaradzić w rozmaitych służbowych przygodach, ażeby państwo, u których wypadnie ci służyć, mieli dla ciebie dobre uważanie, a nadewszystko (bo to najważniejsza), ażebyś w obranym stanie zasłużyła na wieczną nagrodę u Boga. —

II.

Co sługa winna zachowywać względem saméj siebie, względem służby swojéj?

Co to jest służba?

A naprzód masz wiedzieć córko moja, że służba wolność traci, że sługa powinna wyrzec się własnéj woli, a pełnić wolę swoich państwa, że musi ulegać z cierpliwością nieraz może złemu humorowi, a nawet kaprysom, że nie może bez opowiedzenia się wyjść z domu, i wracać musi na czas naznaczony.

W służbie natrafia się na towarzyszki niemiłe, przykre, a których wady należy pochrześciańsku znosić. Sługa miewa nieraz nad sobą przełożoną starszą sługę, któréj trzeba ulegać, jakby saméj pani, a która jest częstokroć niewyrozumialszą, przykrzejszą i więcej wymagającą od samejże pani.

Młoda dziewczyna zabierająca się do służby, powinna dobrze wpierw porachować się ze swoją cierpliwością i rozważyć, czy potrafi znieść to wszystko, co służba wymaga, czy wytrwa w nieustannéj podległości, czy nie ulegnie złym namowom i złym przykładom sług popsutych? Bez tego wszystkiego nie można być dobrą sługą, a złéj słudze nie może być dobrze na żadnéj służbie.

Niejedne, dlatego tylko wychodzą z domu rodzicielskiego, aby uniknąć baczności macierzyńskiej; inne obierają stan służebny dla widoków światowych, dla wydobycia się z niższego położenia swego na świecie. Te powody nie są chrześciańskie, więc Bóg im błogosławić nie może.

Na niezawodną zgubę puszcza się ta, co z chęci wielkich korzyści zostaje sługą; bo chęć zysków prowadzi do chciwości, a chciwość jest jednym z głównych grzechów, który Sty Paweł do bałwochwalstwa porównywa, pismo zaś Ste mówi: (Eccle. X) *niema nic gorszego, jak chciwy człowiek, bo gotów duszę swoję zaprzedać.*

Wiele dziewczyn wiejskich dlatego idą na służbę, aby ubiór swój prosty zamienić na strój *zwaszecia.* Zła to zmiana, bo najczęściej psuje serce i obyczaje.

Znałam jednę wiejską dziewczynę, która poszedłszy do Warszawy na służbę, zamieniła gorsecik i spódnicę kamlotową, na suknią z falbanami i z długim bawetem, fartuch zielony rasowy, na czarny jedwabny, warkocz pleciony spadający na plecy, podpięła wysokim grzebieniem, a włosy gładko uczesane, na czole rozdzielone, pozwijała w mnogie papiloty. Otóż, gdy jéj matka poszła ją odwiedzić, ubrana sobie zwyczajnie jako sandomieska wieśniaczka, panna Ida (bo tak się jéj córka nazywać kazała, chociaż na chrzcie świętym dane jéj było imię Brygidy), panna Ida tedy tak się wstydziła biednéj staruszki, iż wyprowadziła ją aż na tylny dziedziniec tego pałacu, w którym służyła i tam z nią chwilkę porozmawiała, bojąc się, żeby się w pałacu nie dowiedziano, iż to jéj matka. Dała jéj wprawdzie kilka złotych, ale przytém powiedziała: będę wam matulu przysyłać na wieś, co będę mogła, a wy nie trudźcie się już do mnie. Zrozumiała dobrze wiejska kobiecina, co to znaczy, i odtąd nie naprzykrzała się córce swemi odwiedzinami, ale opowiadając mi to, nieraz gorzkiemi łzami zapłakała. *Panna Ida* parę lat pamiętała jeszcze o matce i przesyłała jéj to trochę pieniędzy, to czepiec, to chustkę, ale potem kazała przez znajomych powiedzieć, że ma wielkie na siebie wydatki i nie może nic matce udzielić. Aż nakoniec, téj niedobréj córce, co się swéj matki wstydziła dla mizernego jéj stanu, przyszło na prawdziwe zawstydzenie; bo próżność, upodobanie w strojach, doprowadziły ją do lekkomyślności i do tego, co najwięcej krzywdzi i zawstydza młodą dziewczynę.... Panna Ida przymuszona ukrywać się ze swoją hańbą, jak niepyszna szukała przytułku u swéj biednéj matki, która jak zwyczajnie matka, chociaż z wielkim żalem w sercu, ulitowała się nad nią i przygarnęła do siebie. Widywałam Brygidę w kilka lat potem — upamiętała się ona, żałowała szczerze swego przewinienia, prowadziła się przykładnie, matce była pomocą; ani pracą ani ubiorem wieśniaczym nie gardziła i wyznawała przedemną, iż teraz szczęśliwsza, niżeli gdy się *swoich* wyrzekała, byleby (dodawała z pokorą) Bóg przebaczył, a ludzie zapomnieli moje przewinienie.

Bóg pokutującym i poprawionym grzesznikom przebacza, ale ludzie jak już wezmą kogo na zęby, to nie popuszczą. I Brygida też męża nie dostała, a chociaż powiejsku się nosi i wcale już nosa nie zadziera, wiejskie chłopaki wiedząc, że jéj tem najwięcéj dokuczą, złośliwie wołają na nią: *panna Ida*!

Ileż to dziewczyn od tego swoję zgubę rozpoczynają, iż w złych celach idą na służbę! Zastanówże się dobrze moja córko nad tém wszystkiem; a jeżeli po gorącéj modlitwie, aby Duch Święty myśli twoje oświecił, wytrwasz w chęci zostania służącą, miejże w nieustannéj pamięci: iż widać, że cię Bóg do tego stanu powołał, a więc jedynym celem będzie: postępować w tym stanie, jak Bóg przykazuje, a nie żadne broń Boże widoki światowe powodować tobą będą.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Oswojenie kuny Kamionki i pospolitéj Wydry.

Wielkie i silne zwierzęta drapieżne, jakoto: lew, tygrys, hyena, niedźwiedź i t. d. są po największéj części głównym celem oswajania przez ludzi, którzy następnie dla ciągnienia ztąd korzyści, okazują je w zwierzętarniach czyli menażeryach, i różne z niemi robią sztuki, zawsze podziwienie w widzach, często nawet przestrach wzbudzające, a niekiedy smutnemi kończące się przypadkami. Zatrudnienia podobne, są oznaką nadzwyczajnéj wytrwałości w człowieku, który się im poświęcił, i dowodzą, że taki człowiek oddawszy się użyteczniejszéj pracy, wieleby dobrego mógł dokonać.

Ale równie podziwienia jest godną cierpliwość w oswojeniu mniejszych stosunkowo wprawdzie, ale w drapieżności przewyższających je-

szcze owe lwy, tygrysy i hyeny, zwierząt, a takiemi są nasze kuny i wydry.

Kuna kamionka. Jest małem, drapieżnem zwierzątkiem, przebywającem w blizkości domów, i zakładającem gniazda po ogrodach, spichrzach, stogach siana i pod kamieniami; a podczas nocy letnich przed burzą słyszeć się dają częste krzyki téj kuny łażącéj po zabudowaniach wiejskich. Drapieżność jéj jest wielka, gdyż zakradłszy się do kurnika lub gołębnika, w jednéj chwili dusi wszystkie kury i gołębie i krew z nich wypija. Otóż zadziwiającą jest rzeczą, że znalazł się człowiek, który właśnie obłaskawił do tego stopnia kunę, iż ta dusiła obce kury i najspokojniéj potem wracała do niego.

W jednéj wiosce w południowéj Francyi, mieszkał dymisyonowany żołnierz, który szczególniejszemu oddał się rzemiosłu, bo oswojeniu kuny kamionki. W istocie zwierzątko to swobodnie chodziło po całym domu, nie czyniąc najmniejszéj szkody; słuchała głosu swego pana, przybiegała do niego na każde zawołanie, i rada była, gdy się z nią pieścił. Żyła w wielkiéj zgodzie z pieskiem angielskim razem z nią wychowanym, co już niemałą jest osobliwością. Lecz posłuchajmy, w jakim to celu ów wojak stary zadał sobie tyle pracy w oswojeniu kuny. Każdego poranku żołnierz wychodził z domu niosąc na plecach kosz podzielony na dwie przegrody; w jednéj z nich siedziała spokojnie kuna, a piesek, równie do téj przechadzki należący, biegł obok żołnierza. Ta trójka udawała się w pole, gdzie ptastwo domowe żérowało. Skoro żołnierz ujrzał kurę przy płocie w takiem miejscu, gdzie go nikt nie dostrzegł, zdejmował kosz, wydobywał z niego kunę, wskazał jéj kurę, posadził na ziemię i odszedł. Kuna dostawała się na płot, czołgała się po nim nawzór węża, a zbliżywszy się do kury, rzucała się na nią i dusiła. Wówczas piesek pobiegł i przynosił żołnierzowi zaduszoną kurę, którą on do drugiéj przegrody kosza chował. Następnie puszczał się w dalszą drogę, nowéj szukając zdobyczy. Wreszcie po niejakim czasie mieszkańcy wioski spostrzegli, że im kury giną; dla przekonania się o przyczynie, zasadzili się w ukryciu, i złapali owego zmyślnego strzelca na gorącym uczynku. Sprawa wytoczyła się przed sędziego, który wyrokiem swym kazał zastrzelić kunę, a na starego wojaka włożył obowiązek wynagrodzenia mieszkańców za wszystkie poduszone kury.

Wydra pospolita. (Lutra vulgaris). Zwierzę to z postaci podobne kunie, jest jednak od niej nierównie większe, bo dochodzi pół trzeciej stopy długości, i palce u nóg ma błoną spięte, gdyż często w wodzie przebywa. Wydra utrzymuje się nad brzegami rzek, jezior, stawów w norach głębokich i z nich wychodzi do wody dla łowienia ryb, żab i raków. Nie wytrzymuje długo pod wodą i często na wierzch wypływa. Jeżeli przebywa w blizkości ludzi, cały dzień siedzi spokojnie w norze, i tylko w nocy wychodzi na zdobycz. Jedna wydra może bardzo wyniszczyć ryby w stawie, a cóż dopiero, gdy się ich więcej znajduje? Młodo złowiona daje się łatwo ugłaskać; na dowód czego przytaczamy tu artykuł o wydrze króla Jana Sobieskiego, wyjęty z ówczesnych pamiętników szlachcica polskiego Paska.

„Niezmiernie lubiłem, mówi ów szlachcic, oswajać zwierzęta najsprzeczniejszych nałogów i obyczajów; na moim więc dziedzińcu można było widzieć lisa igrającego z psami, a w izbie zając sypiał na jedném posłaniu z pudlem. Łowy moje były podziwieniem dla sąsiadów; gdym na nie wyjeżdżał z mego dworu, można było poczytać mię za Noego, otoczonego wszystkiemi zwierzętami z arki. Między moją psiarnią znajdowała się kuna, borsuk, lis i zając, mający na szyi obrożkę z dzwoneczkami; sokół siedział na mojem ramieniu, a kruk tak wprawiony do łapania kuropatw i zajęcy jak sokół, ulatywał nad nami, albo siedział na grzbiecie charta, który rzucał się na wszystkie strony, chcąc się pozbyć tak natrętnego towarzysza. Prości ludzie mieli mię za czarownika—niech im tego Bóg niepamięta. Skoro tylko wypłoszono zająca, całe towarzystwo leciało za nim, równie i jego obłaskawiony towarzysz; jednak gdy zając dościgniony skwierczeć począł, oswojony jego kolega uciekał do domu i przez cały dzień siedział w kącie. Najciekawszém mojém zwierzęciem była wydra. Sypiała zawsze w mojém łóżku, lecz była niezmiernie zła. Gdy się kto zbliżał do mojéj izby, budziła mię przytłumionym warczeniem. Nigdy nie jadła surowych ryb i mięsa; w piątek i w sobotę musiano dla niéj gotować kurczę, albo gołębia, i to jeszcze nie chciała jeść, jeżeli nie były zaprawione pietruszką, bo lubiła tę przyprawę.

Ze wszystkich psów, lubiła tylko jednego, z tym chętnie się bawiła, odpędzała innych, a żaden nie śmiał jéj zaczepić. Najszacowniejszym

jéj przymiotem było to, że dostarczała mi tyle ryb świeżych, ile tylko potrzebowałem na kuchnią. Skoro tylko rzekłem do niéj: moja kochanko! mam gości, trzeba mi ryb na objad, zanurzała się w stawie i wynosiła sztukę po sztuce. W czasie wielkiego postu była najczynniejszą; w owéj porze roku zawsze miewałem wiele gości, ona dostarczała ryb dla wszystkich. Zawsze ją brałem w drogę, a gdym przejeżdżał koło stawu lub rzeki, pewny byłem, że będę miał ryby na obiad i wieczerzę. Zdarzyło się, że król Jan III nasłuchawszy się tyle o mojéj osobliwej wydrze, zażądał, abym mu ją odstąpił, ofiarując mi wzamian dwa piękne arabskie konie i tyle pieniędzy, ile sam zechcę. Żal ścisnął mi serce, długo się opierałem, lecz wreszcie widząc, że król nie odstępuje od swego zamiaru, umyśliłem podarować wydrę królowi. Gdym ją wsadził do klatki, dla przesłania nowemu panu, biedaczka zaczęła krzyczéć i wyć tak boleśnie, że zatkawszy sobie uszy, uciec musiałem.

Przywieziono wreszcie do Wilanowa wychudłą i smutną wydrę. Skoro tylko kto chciał się z nią pieścić, wyszczerzała zęby ze złością. Pewnego dnia rzekł król do żony: Marysiu! cóż ci się zdaje, gdybym też ją pogłaskał? Królowa krzyknęła, prosząc męża, aby tego nie robił; jednakże król posunął rękę mówiąc: jeżeli mię nie ugryzie, będzie to dobry znak. Pogłaskał ją, a zamiast ugryzienia, zaczęła się łasić, co tak bardzo zabawiło króla, iż od téj chwili nią się najwięcéj zajmował.

Posyłając wydrę, napisałem cały arkusz instrukcyi, jak się z nią obchodzić należało — zastosowano się do mojéj rady, i wydra powoli przyzwyczaiła się do nowego pomieszkania. Lecz pewnego dnia, gdy biegała po łąkach i gajach Wilanowskiego ogrodu, postrzegł ją żołnierz od pociągu, zabił kijem i skórę jéj sprzedał żydowi za złotówkę. Jak tylko spostrzeżono, że niema wydry, okropny się hałas zrobił w pałacu; zaczęto szukać i wkrótce przekonano się o prawdzie. Gdy skórę wydry pokazano królowi, uniósł się wielkim gniewem, i kto wie, coby się stało z owym żołnierzem, gdyby ksiądz Biskup spowiednik królewski, nie był się wstawił za nim i nie pohamował króla.

Wspominki.

Piękny przykład cnót godnych pamięci przedstawia nam Władysław Jagiełło król polski i wielki książę litewski. Nietylko życzliwi, ale nawet nieprzyjaciele jego Krzyżacy, mówią iż król ten nie znal ani cienia obłudy, *nie umiał ukryć niczego*. Urazy domowe szły dziwnie prędko w niepamięć. Komu innemu zaś wyrządzoną zniewagę, przebłagiwał Jagiełło ze łzami w oczach, na klęczkach. Co do jego miłosierdzia, dobroci, rzadkiéj ludzkości, żaden chwalca nie mógłby przyznać mu więcéj od jego nieprzyjaciół, nieprzebaczających mu najmniejszéj wady jak np. zbytniego zamiłowania w polowaniu i skłonności do zabobonów. Mówią oni, że Jagielle jak łatwo przychodziło nagradzać, tak trudno karać; ztąd najwinniejsi często otrzymywali przebaczenie, zwyciężeni pewni byli łaski. Troskliwość dla wdów, sierot ubogich, których sprawy zwyczajnie sam rozsądzał była jak największą. „Zprzed oblicza panującego mawiał Jagiełło, nie powinien nikt odchodzić bez pociechy.“ Choćby więc małym datkiem, choćby upominkiem w suknie lub soli żegnała łaska pańska poddanych. Wdowy, sieroty, biedni odnosili dwójnosób. Ponieważ zaś ośmieleni łaskawością nieraz zbyt wielkich domagali się datków, miał przeto zwyczaj udzielać tylko połowę tego o co proszono. Widok każdego szlachetnego czynu rozgrzewał mu serce, pobudzał do radości i pochwał, otwierał rękę do nagród, ztąd prawie wszystkie wojny Jagiełły miały niezwykłe powodzenie, bo pod jego okiem najwaleczniejsi stawali się jeszcze waleczniejszemi. Kto raz zacnym czynem zwrócił na siebie oczy, ten już na długie lata zaskarbił sobie łaskę króla. Tylko urazy szły w zapomnienie. W wieku kiedy nietylko wszyscy królowie, ale nawet lada zamożny mieszkaniec zbytkował strojem słynącym, Jagiełło chodził w prostéj odzieży, nie cierpiał złota na sukni. Toż za to prawdziwie złotem było serce jego. Kiedy współcześni mu słynęli w późne wieki z chciwości i przedajności, on nie miał serca dla wziątku. Nie było też pobożniejszego księcia nad Jagiełłę, często przedsiębrał pobożne pielgrzymki, wśród bitwy nieraz na klęczkach błagał Pana nad Pany. Ztąd też wojenne czyny jego łączy się z zasługami religijnemi.

W druk. J. Ungra. Wolno drukować. Warszawa dnia 14 (26) stycznia 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*